

# ROBIĆ SWOJE

Rozmowa z **BOLESŁAWEM WOLNYM**, nestorem szczecińskich geodetów, odznaczonym ostatnio Złotą Odznaką Honorową Gryfa Zachodniopomorskiego

**JERZY PRZYWARA: O szczecińskiej geodezji mówi się, że najpierw jest Wolny, potem długo, długo nic i dopiero reszta. Jak zdobywa się autorytet, szacunek środowiska?**

**BOLESŁAW WOLNY:** Przede wszystkim trzeba robić swoje (śmiech). A poważnie rzecz biorąc, każdy szef – to jest moja podstawowa zasada – jest mądry mądrością swoich pracowników. Bo ludzie są mądrzy, potrafią rozwiązywać najrozmaitsze problemy. Trzeba ich tylko słuchać, choć oczywiście niekoniecznie za każdym razem się z nimi zgadzać.

Poza tym istotne było dla mnie wychowanie wyniesione z domu i to, że trafiłem na bardzo dobrych nauczycieli. Pierwszym z nich był dr Władysław Drozgowski, który przyjmował mnie do pracy w wydziale szczecińskim Poznańskiego Okręgowego Przedsiębiorstwa Mierniczego. To był fanatyk geodezji, niesłyszanie pracowity, rzetelny i uczciwy. Pełen werwy, parł do przodu, robił fantastyczne rzeczy, m.in. założył średnie szkolnictwo geodezyjne w Szczecinie. Był dla mnie wzorem. Pokazał, jak działać, nie patrząc na interes własny, który z perspektywy moich 70 lat jest zupełnie nieważny.

**Ale dobra pensja, mieszkanie, samochód też się w życiu liczą.**

Na początku rzeczywiście tak myśliłem, że urządzenie się jest ważne, ale później staje się to nieistotne. Ważne jest to, co się daje innym, a nie to, co się samemu weźmie. Chociaż czasami bywa i tak, że nie chcą tego brać (śmiech).

Drugim moim nauczycielem był inż. Henryk Wokulski, kierownik delegatury GUGiK, do której przeniosłem się w 1962 roku, po pięciu latach pracy w przedsiębiorstwie. Był on przeciwnieństwem Drozgowskiego. Rozważny, dopełniający wszelkich formalności, nauczył mnie porządku prawnego w pracach geodezyjnych i ostrożności w działaniu.

I wreszcie Andrzej Grabski, wicewojewoda szczeciński. Zetknąłem się z nim na początku lat 70., kiedy już byłem kierownikiem delegatury. Był człowiekiem wielkiego serca, rozsądku i dużej życzliwości dla geodezji. Jak wiadomo, w czasach geodezji resortowej każde ministerstwo miało swoją służbę geodezyjną. GUGiK miał OPM-y, gospodarka komunalna – WPGGK-i, rolnictwo – swoje biura, PKP – swoje itd. Kiedyś wyraziłem się przy nim, że dziwny system panuje w tej geodezji i że coś powinno się z tym zrobić. Odpowiedział: Proszę pana, niech pan będzie ojcem dla wszystkich geodetów. Oczywiście, takie nauki trzeba umieć przyjąć.

**Czy wybór zawodu geodety był świadomą decyzją?**

Zdecydował o tym zupełny przypadek, bo zawsze interesowałem się archeologią. Tato mi jednak mówił: Co ty, synu, zarobisz jako archeolog? Wybierz sobie zawód, który da ci coś w życiu.

Drugim moim hobby była kartografia. Miałem 5 lat, gdy zjechaliśmy w czasie wojny do posiadłości mojego dziadka pod Krakowem. Znalazłem tam wspaniałą, niemiecki Wielki Atlas Świata. Wertowałem go, oglądałem mapy, poznawałem świat. A potem zacząłem własną „działalność” kartograficzną, rysując na każdych wakacjach plany miejscowości, w których byłem. Gdy przyszło zdecydować o kierunku studiów, wybór był pomiędzy geologią i geodezją. Stanęło na geodezji, ponieważ miała więcej wspólnego z mapami. Tym sposobem znalazłem się na Wydziale Geodezji Górniczej Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie.

**Po studiach powrócił pan jednak do Szczecina.**

Jesteśmy tutaj od samego początku. Ojciec już w kwietniu 1945 roku był w pionierskiej ekipie szczecińskiej dyrekcji kolejowej, która zawiązała się w Krakowie. Na Odrze trwały jeszcze walki, a oni już czekali na wjazd do miasta. Dopiero po

roku ściągnął rodzinę. Moja mama to jest ród lwowski, ojciec studiował we Lwowie, ja sam jestem rodowitym lwowianinem. Ale skoro nie można było wrócić do Lwowa, to tato zapytał mamę, dokąd chce jechać: do Rzeszowa czy do Szczecina? Mama wybrała Szczecin, bo to nad morzem. Zacząłem w moim atlasie szukać, gdzie jest ten Szczecin. Narysowałem piękną mapę i pokazałem rodzicom, jak daleko miasto leży od morza.

**Jacy geodeci zjawiali się tutaj po wojnie?**

Nazbierało się sporo rozmaitych, nieraz przypadkowych ludzi. Niektórzy pochodzili z Wileńszczyzny, część z nakazami mobilizacyjnymi, inni z Łodzi, kolejni z Kielecczyny, z tamtejszej spółdzielni geodezyjnej. W ciężkich bólach się to nasze środowisko rodziło i do dzisiaj jest ono w dużym stopniu zatomizowane.

Poza mierniczymi przysięgłymi byli także mierniczy pracujący w instytucjach państwowych: w Wydziale Pomiarów przy Urzędzie Wojewódzkim Szczecińskim i w Urzędzie Ziemskim. Wykonywali oni prace do celów urzędowych. Na początku Wydział Pomiarów właściwie nie zajmował się pomiarami. Dopiero, gdy w 1947 roku przyszło do wykonania mapy portu szczecińskiego, prezes Głównego Urzędu Pomiarów Kraju zobowiązał się na posiedzeniu Rady Ministrów, że w ciągu kilku miesięcy takie mapy dostarczy. Ściągnął wtedy z Kielc Ignacego Rabczuka, który zrobił pomiary i już tutaj został. Między innymi w ramach Wydziału Pomiarów utworzył Grupę Portową, a w 1949 roku, gdy powstało Państwowe Przedsiębiorstwo Miernicze w Warszawie i jego filie wojewódzkie, został szefem szczecińskiego biura oddziału OPM w Gdańsku. Opisałem to w książce „Opowieści i wspominki o geodetach i geodezji” i łapię się w myślach na tym, że znałem praktycznie wszystkich tych ludzi. Czasy niby zamierzchłe, ale jakże bliskie.



FOT. JERZY PRZYWARA

## Jakie były pana pierwsze kroki w zawodzie?

Pracę zacząłem w bezpośrednim wykonawstwie i z miejsca zostałem rzucony na głęboką wodę. Przedsiębiorstwo wykonywało pomiar wybrzeża. Przyszłem tam pracować 1 sierpnia 1957 roku i od razu powiedziano mi: Za dwa tygodnie pan wyrusza, proszę sobie przygotować sprzęt i materiały. Dostałem 2 techników, samochód do zawiezienia wszystkiego i cześć! Przyznam się, że dałem sobie świetnie radę. Po dwóch miesiącach usłyszałem: O! Nowy Rabczuk nam się narodził!

## Wiele lat pracował pan w szczecińskiej delegaturze GUGiK-u.

Przyszedłem tam do pracy w 1962 roku. Zajmowaliśmy się kontrolami w przedsiębiorstwach geodezyjnych i komórkach geodezyjnych rozmaitych firm oraz w składnicach powiatowych, będących wówczas w gestii resortów rolnictwa i gospodarki komunalnej. Pilnowaliśmy po prostu porządku, bo działy się rzeczy przerażające. Były już lata 60., a zastawałem takie obrazki, jak np. w Szczecinie, w powiatowym BGiTR, które mieściło się na parterze budynku UM. Biuro miało dwie składnice: z materiałami bieżącymi dotyczącymi regulacji terenów wie-

skich i materiałami archiwalnymi przejętymi po niemieckiej służbie geodezyjnej. Te drugie były składowane w łazience koło WC, zamykanej na łańcuch, bo innego zamknięcia nie było. Albo inny obrazek ze składnicy resortu gospodarki komunalnej w Szczecinie: przychodzę na kontrolę, kierownik wpada w popłoch, dzwoni do mojego szefa: Kogoś mi tu przysłał, on mi wszystko wywraca do góry nogami! A było co wywracać, bo ustaliłem, że setki operatów nie zostało przekazanych do składnicy. Szkice polowe „na pudełku od zapalek”! Powoli próbowaliśmy regulować te sprawy.

Dzisiaj trudno to sobie wyobrazić, ale z całego województwa zgłaszano do nas zapotrzebowanie na prace, a my na dorocznych „koordynacjach” przydzielaliśmy je poszczególnym przedsiębiorstwom geodezyjnym. Były przy tym rozmaite targi, nieprzyjemne sytuacje między GUGiK-iem a gospodarką komunalną. Poza tym delegatury trzymały rękę na wojewódzkim zasobie, czyli mapach topograficznych, współrzędnych punktów sieci osnowy, handlu

mapami. Prezes GUGiK Borys Szmielew, chcąc podnieść rangę geodezji, wplątał się w składnice wojskowe. W delegaturach powstały więc składnice specjalne dla map wojskowych niedostępnych dla cywilów. Zajmowałem się m.in. zaprojektowaniem składnicy w Szczecinie i sprowadzaniem map transportami wojskowymi z magazynów z Warszawy i Chełmna. Była to ogromna praca, zapatrywaliśmy w nie poszczególne sztaby powiatowe i jednostki wojskowe. Gdy po roku 70. zdjęto z nas ten obowiązek, poczuliśmy wielką ulgę.

**Urzędnik czasami musi wykonywać przepisy, z którymi się nie zgadza. Niewiele wtedy od niego zależy. Jak z tego wybrnąć?**

**BOLESŁAW WOLNY** (ur. 5 stycznia 1935 r. we Lwowie), absolwent Wydziału Geodezji Górniczej AGH, w latach 1957-62 pracował w wydziale szczecińskim Poznańskiego Okręgowego Przedsiębiorstwa Mierniczego jako kierownik zespołu pomiarowego; w okresie 1962-72 zatrudniony w Delegaturze GUGiK w Szczecinie, zaczynał jako starszy inżynier, następnie był zastępcą kierownika i kierownikiem Delegatury; w latach 1973-84 był zastępcą dyrektora Wydziału ds. Geodezji i Kartografii w Urzędzie Wojewódzkim w Szczecinie i głównym geodetą województwa; od 1985 do 1990 r. pracował w OPGK w Szczecinie jako główny specjalista, a następnie kierownik Zakładu Inżynierii i Wydawnictw; w okresie 1991-99 ponownie zatrudniony w Urzędzie Wojewódzkim, m.in. jako kierownik Oddziału Nadzoru Geodezyjnego i Kartograficznego. Pracuje tu nadal, będąc na emeryturze. W latach 1977-87 członek Rady Geodezyjnej i Kartograficznej przy GUGiK. Autor licznych artykułów, opracowań, wytycznych technicznych.

Powiem coś zaskakującego – w czasach tzw. komuny było więcej wolności w podejmowaniu decyzji niż obecnie. Przepisy były bardziej ogólne i dawały pole manewru. I człowiek mądry, jeśli tylko chciał, mógł postąpić według swojego własnego rozumu i wziąć na siebie tę czy inną decyzję. Chociaż oczywiście z rezultatem mogło być różnie.

Taki śmieszny przykład: pierwszym prezydentem Szczecina po wojnie był profesor Piotr Zaremba, człowiek niesłychanych zasług, poznaniak, urbanista z wykształcenia. Profesor pod koniec życia zajmował się urbanistyką i planowaniem rejonów portowych, m.in. Szczecin-Świnoujście. Kiedyś przyszedł do mnie, gdyż potrzebował do swych studiów map tego rejonu. Niestety, nie mogłem mu ich dać, bo były poufne, mogłem je sprzedać tylko instytucjom. Powiedziałem profesorowi, że wystąpię do prezesa GUGiK Zdzisława Adamczewskiego o zgodę na ich wydanie w drodze wyjątku. Oczy-

wiecie nic nie wskórałem. Ale gdzie tam! A na jakiej podstawie! Itd. Minęło kilka lat, profesor w tej samej sprawie poszedł do wojewody. Wojewoda kazał przewodniczącemu wojewódzkiej komisji planowania zlecić nam wykonanie tych map. Zmontowaliśmy je i przekazaliśmy Zarembe, po czym wystawiłem komisji planowania rachunek. A ci mówią, że nie zapłacą, bo mapy poszły do osoby fizycznej. Powiedziałem im, że przecież to ich zlecenie. A oni na to: No wie pan, Zaremba przyszedł do wojewody, a wojewoda do przewodniczącego komisji i powiedział, że skoro Zaremba, „żywy pomnik”, przyszedł po mapy, to jak mu odmówić? W końcu daliśmy te mapy za darmo.

Czasami trzeba to było rozegrać inaczej. Kiedyś uprawnienia do wykonywania robót geodezyjnych na własny rachunek można było wydawać tylko osobom zatrudnionym w jednostkach państwowych na stanowiskach administracyjnych. Na początku lat 80. jeden z kolegów z uwagi na działalność w „Solidarności” został zwolniony z przedsiębiorstwa i nie mógł znaleźć pracy. Zadzwoeniłem do prezesa GUGiK i powiedziałem, że mam taki przypadek i chciałbym temu człowiekowi wydać pozwolenie. Oczywiście usłyszałem, że w żadnym wypadku! Pomyślałem jednak, że człowieka nie zostawię. Poradziłem mu, żeby najpierw zarejestrował się jako bezrobotny w urzędzie, a potem żeby przyszedł do mnie, to dostanie to zezwolenie. Przepis tego w końcu nie zabraniał.

**Więcej satysfakcji sprawiła panu praca w urzędzie czy w przedsiębiorstwie?**

Patrzę na to nie przez pryzmat swojego interesu czy ambicji, tylko dobrego wykonywania obowiązków. Wszędzie dobrze mi się pracowało. Wszędzie chciałem dać z siebie tyle, ile mogłem.

Jako szef miałem obowiązki wobec swoich pracowników. Musiałem zapewnić im robotę, dobre warunki pracy, żeby to, co robią, miało sens i żeby zarobili. Z tego starałem się wywiązywać jak należy. A praca zawsze dawała mi wiele satysfakcji zarówno ta wykonywana w urzędach, jak i ta w przedsiębiorstwach.

**Te 60 lat polskiej powojennej geodezji miało różne okresy, jednak ostatnie lata wydają się wyjątkowo „rozedrgane” i niespokojne.**

Zauważam te niezbyt szczęśliwe metody postępowania. Dawniej zmiany w technologiach następowały stosunkowo wolno, teraz są one niezwykle szybkie. Za nimi generalnie nie nadążają nasze przepisy, które są zbyt szczegółowe. Jeśli chodzi o *Prawo geodezyjne*, o którym teraz wie-

le się mówi, uważam, że nie można stale dążyć do opracowywania go od nowa. Powinno się je poprawiać na bieżąco. Gdy pojawiają się nowe zagadnienia, to należy je uwzględnić w ustawie. Jest to łatwiejsze, szybsze i rodzi najmniej konfliktów. Jestem przeciwnikiem robienia rewolucji, bo rewolucja to jest bolszewizm. Porządne demokratyczne państwo powinno ewolucyjnie zmierzać do lepszej organizacji.

**Słyszysz opinie, że obecne prawo to gorset dla przedsiębiorczości, czego przykładem mogą być uprawnienia zawodowe. Młody człowiek mówi: Skończyłem studia i kim ja jestem?**

No, jeśli skończyłeś studia, jeśli masz parę lat praktyki i zdałeś egzamin, to masz przecież prawo założyć przedsiębiorstwo geodezyjne. Ale działalność zaraz po studiach? Toż taki absolwent przecież nic nie umie! Nie jest w stanie samodzielnie wykonać roboty, nie może więc za nią odpowiadać. To jest ogromna odpowiedzialność. Szczególnie dzisiaj, gdy w firmach nie ma nadzoru geodezyjnego. Dawniej w przedsiębiorstwach zawsze był inspektor kontroli czy kierownik grupy robót, który sprawdzał wykonaną pracę. Przecież ośrodki dokumentacji geodezyjnej i kartograficznej nie są w stanie zapewnić kontroli tysięcy operatorów! Nie są do tego przygotowane kadrowo. Co gorsza, one się rozsypują, bo ludzie stamtąd gremialnie się zwalniają.

**Dotyczy to chyba nie tylko kondycji ośrodków, ale w ogóle tego, co – słusznie czy też nie – nazywamy służbą geodezyjną.**

Niedawno zdołaliśmy „ruszyć” na naszym terenie sprawę przeniesienia państwowego zasobu z ośrodków kolejowych do powiatów. Przecież w 1990 roku to wszystko powinno było trafić do PODGiK-ów! To ogromny błąd, że tak się nie stało, bo jest tam mnóstwo danych z zakresu ewidencji gruntów, osnowy itp. Teraz okazuje się jednak, że niektóre powiaty otrzymały od PKP oryginały dokumentów, a inne tylko kopie ksero bez klauzuli o zgodności z oryginałem. Nie popuścimy tego. Musi być porządek. Kolej musi zrozumieć, że z chwilą, gdy stała się spółką, jej geodeci nie są już służbą geodezyjną, a prowadzenie składnic leży w kompetencjach starostów. Inna sprawa, że dopilnowywanie tego to zadanie GUGiK-u, który powinien zmusić „górze” PKP do przekazania zasobów. Ale nasze pisma w tej sprawie skierowane do GUGiK są zbywane milczeniem. Urząd nie pełni swojej roli naczelnego organu służby geodezyjnej. To jest fatalne.

**Czy środowisko szczecińskie nie jest zbyt wymagające wobec centrali?**

Jako pierwsi wszczęliśmy akcję przekazywania do PODGiK dokumentacji dotyczącej przewiertów sterowanych. Przecież nie są one geodezyjnie inwentaryzowane, nie wchodzi do zasobu, a przewody i rury bieżą setki metrów pod ziemią! Wydaliśmy tymczasowe wskazówki, co robić w takich sytuacjach [patrz GEO-DETA, 12/2006 – przyp. red.]. Minęły lata, a GUGiK do tej pory nie wydał w tej sprawie żadnych zaleceń. To jak on działa? Przecież nowym technologiom trzeba wychodzić naprzeciw.

**Ale w administracji marnie płacą...**

To nie tak! Jeśli przyjąłeś pracę, obojętnie za jaką kwotę, to wykonuj swoje obowiązki! Wykonuj je rzetelnie i uczciwie. A jak ci się nie podoba, to się zwolnij!

**Ale urzędnik pracujący w ośrodku pisze do redakcji, że dorabiał, dorabia i będzie dorabiał, bo mu starosta kieszonko płaci. Ludzie nie są aniołami, a czas są, jakie są.**

Sądzę, że dla ośrodków najlepszy był czas, kiedy były one w „posiadaniu” OPGK-ów. Wyglądało to mniej więcej tak: „róbta, co chceta”, byle w ośrodku był porządek. Skoro kiedyś prowadziły je przedsiębiorstwa wykonawcze, to chyba nic nie stoi na przeszkodzie, by dzisiaj robiły to firmy komercyjne. Niech zarabiają, jak tylko umieją najlepiej, ale pod warunkiem, że w ośrodku będzie porządek. Nie da się z geodezji zrobić czysto administracyjnej struktury.

**Jednak taka administracja istnieje.**

Tak. Winna ona zajmować się zbiorami informacji składającymi się na mapę zasadniczą, a więc ewidencją gruntów i budynków, ewidencją uzbrojenia terenu i elementami ogólnogeograficznymi łączącymi te ewidencje. To nasze wielkie osiągnięcie, którego nam wielu zazdrości. Stworzyliśmy unikalny zbiór informacji o terenie, których generalnie nie widać z żadnego satelity. I prace nad nim należy prowadzić. Ale może on funkcjonować tylko w formie rejestru państwowego. Nie może należeć do samorządów, bo one go zniszczą. Samorządy nie widzą bowiem idei ogólnopaństwowej. Dlatego musi istnieć GUGiK, centralna jednostka zarządzająca. Boli mnie, że ta nasza piękna dziedzina jest od pewnego czasu niszczone.

**Mimo tej nutki gorczy bije z pana optymizm.**

Bo ja dla każdego mam uśmiech.

Rozmawiał JERZY PRZYWARA